



Wyniki „Wyścigu Sprytnych Główek“

W wyścigu początkowo brało udział bardzo wielu dzieci, lecz z czasem ilość ich znacznie się zmniejszyła. Widocznie zabrakło im wytrwałości i nie wytrzymali do końca. Przerwywając wyścig dobrowolnie przegrali tym, którzy okazali się wytrwali i doprowadzili swą pracę do końca. Pamiętajcie, kochani, że systematyczność i wytrwałość w każdej pracy mają bardzo wielkie znaczenie. W każdym zawodach pierwszeństwo zdobywa zawsze ten, kto potrafi od początku do końca doprowadzić rozpoczętą przez siebie pracę. Systematyczność i wytrwałość bardzo dodatnio wpływają na wyrobienie siły woli i stałego charakteru. A przecież dobrze wiecie, że ludzi mających silną wolę i stały określony charakter cenimy bardzo wysoko. Cenimy i ufamy im dlatego, bowiem wiemy z góry, że taki człowiek zrobi wszystko, co postanowił, nie zważając na żadne trudności i nawet niebezpieczeństwa. Otóż nasz „Wyścig Sprytnych Główek” był taką pierwszą próbą waszej wytrwałości i waszych charakterów. Wśród

licznych zawodników wyścigu znaleźli się tacy, którzy wykazali dostateczną cierpliwość i wytrwałość i dlatego zwyciężyli.

Wszystkim zwycięzcom wyścigu bardzo serdecznie winszujemy i życzymy im powodzenia i dalszych zwycięstw we wszystkich innych zawodach i konkursach.

Według nadesłanych rozwiązań wyniki są następujące:

- Cześć Szklennik z Daugawpilsu — I miejsce,
- Mieczuś Kokin z Daugawpilsu — II miejsce
- Zosia Jakowiczówna z Liepai — III miejsce
- A. Mieszkowska z Pasiene — IV miejsce
- Bez nazwiska z Rygi — V miejsce

Zdobywcy I, II i III miejsca dostaną jako nagrodę bardzo ładną książkę pod nazwą „Książka o robocie”.

Zdobywcy IV i V-miejsca dostaną w upominku oprawione roczniki „Krasnoludków”.



Nasze wierszyki

Czy się co zmieniło?

Czy się zmieniło?
Czy się co odstalo?
Już słonko świeciło,
już wiosną pachniało.
Już Stasiek za pługiem
ruszył w jare pole,
już Maryś widziała
boćka na stodole.
Czy się co odstalo?
Czy sam Bóg odmienił?
Już za stodołami
wygon się zielenił,
już szary skowronek
ponad Pańską męką
ludziom na pokrzepek
podzwaniał piosenką;
już i ponad stokiem
zagrały wierzbiny...
'A tu znowu światem
chodzi tuman siny.
Chodzi tuman siny,
kroczy zima biała...
Hej, wiosenko-lubko,
gdzieś się zapodziała?
Gdzieś się zapodziała?
Na ziemi czy w niebie?
Wróćże, wróć wiosenko,
bo smutno bez ciebie.

Mała mama

Świeci słonka promyk złoty,
Ciepły wietrzyk mknie z oddali.
A ja dużo mam roboty,
Szyję suknię dla mej lali
Nie wołajcie mnie do lasu.
Mam roboty pełne ręce
Nie mam czasu, nie mam czasu,
Tyle pracy przy sukience.
Mama dała mi te łątki,
Kraj ostrożnie, moja Jótko!
Śliczna będzie suknia w kwiatki,
Nie chcę zrobić ją zbyt krótką.
Nasza mama, Boże, Boże,
Jakaż dobra i kochana,
Dba o ubiór nasz jak może
I ubiera nas co rana.
O strój lalki ja tak samo
Pragnę starać się usilnie,
Chcę być dobrą dla niej mamą
I dla tego szyję pilnie

Piosnka poranna

Ja kocham wszystkich, ja nie znam wroga,
Każdemu pragnę przychylić nieba,
Lecz ponad wszystko ja kocham Boga —
Bo go z sił wszystkich kochać potrzeba.
Wszystko mnie wabi, wszystko wokół,
Lecz najpiękniejszy nasz dom rodzinny!
W nim moje życie płynie wesoło,
W nim moja młodość, mój raj dziecienny!
Kocham ja ojca i wszystkich w domu,
Choć do kochania nikt mnie nie zmusił.
Za dużo serca nie dam nikomu!
Całe serduszko me dla mamusi!



Wulkany

Czytaliście pewno nieraz o wybuchach wulkanów. Gdyby was się jednak ktoś zapytał, co to jest wulkan, nie wiele za pewne umielibyście odpowiedzieć.

Wyobraźcie więc sobie wielką górę. Na jej szczycie znajduje się otwór zwany kraterem. Z tego krateru unoszą się gęste słupy dymu i ognia, słychać straszny grzmot, a po chwili wystrzela w powietrze słup rozpalonej cieczy, tak zwanej lawy. Taka góra nazywa się wulkanem. Z wnętrza ziemi, gdzie panuje straszliwa gorączka, wydobywa się przez krater wulkanu rozpalona lava, niszcząca wszystko dokoła. Wtedy mówimy, że wulkan pracuje. Zwykle grzmot poprzedza wybuch wulkanu, czasem jednak wulkan wybucha nagle i to z nadzwyczajną siłą. Ogromny płomień wzląduje ku niebu i wśród piorunów i straszego huku wytryska strumień ognisto-płynnej lawy. Biada wówczas temu, kto znajduje się w pobliżu. Rozpalone powietrze, pełne dymu, dusi człowieka, a lava wywołuje straszne pożary. Ogień niszczy wszystko: drzewa, domy i pola.

Wulkany stale wybuchające nazywamy czynnymi. Istnieją jednak takie, które od niepamiętnych czasów były zupełnie spokojne. Te zwą się wygasłymi. W głębi ich krateru, t. j. otworu, którego przelewa się lava, rosną drzewa i zieleni się trawa. Zwykle są one też pastwiskiem owiec czy kóz. Nigdy jednak nie można takiemu wygasłemu wulkanowi ufać. Może się bowiem zdarzyć, że po latach bezczynności nagle następuje wybuch. Przed setkami lat naprzykład we Włoszech, koło Neapolu, nastąpił taki nagły wybuch wulkanu, o którym sądzono, że jest od dawna bezpieczny. Wezuwusz, tak się ten wulkan nazywał, zniszczył wtedy wiele bogatych miast. Tysiące zaś mieszkańców poniosło śmierć.

Dziś jeszcze istnieje na świecie bardzo wiele wulkanów czynnych. Szczególnie Japonia cierpi od ich groźnych wybuchów. Co pewien czas odzywają się one i szerzą straszne spustoszenia.

W Europie nie wiele jest czynnych wulkanów. Natomiast inne części świata mają ich bardzo dużo. Tak np. między wyspą Jawą i Sumatrą leży największy wulkan świata Krakatau, na wyspie zaś Hawaj znajduje się potężny wulkan Manna-Loa.

Historja igły-czarodziejki

— Czesiu! Czesiu! rozległ się głos matki, pilnie szyjącej przy oknie.

Na to wołanie nadbiegła 10-letnia dziewczynka.

— Jestem, mamusiu.

— Upadła mi igła, poszukaj!

Igła dostała się w szpare, skąd niełatwo było ją wydobyć.

— Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak wielkie znaczenie dla ludzi posiada ten malutki błyszczący pręcik? — rzekła matka — czy możnaby obejść się bez niego? To czarodziejskie narzędzie ma niezliczone zastosowanie: dzięki niej sporządza się obuwie skórzane i artystyczne hafty, zesztywnia się grube żagle i przecięta dla operacji skórę ludzką, wykonywa siodła i pajęczce koronki.

— A jak dawno istnieje igła? — zapytała Czesia.

— Może dziesiątki tysięcy lat, a może więcej. W jaskiniach, stanowiących pierwotne mieszkania ludzi, znaleziono igły z rogów i kości; znacznie późniejsze są bronzowe przedziurawione w środku; następnie miedziane, żelazne i złote. Do grobowca królowej Egiptu włożono igły kryształowe, których niegdyś używała.

— Patrząc na igłę, napozór tak prostą, niktyby nie przypuścił, że musiała przejść przez ręce 100 a nawet 120 robotników, zanim ostateczny swój kształt otrzymała. Od stu lat w wyrobie ich pomagają ludziom maszyny.

— Do fabryki przywożą gotowe druty stalowe różnej grubości: po przecięciu drutu na igły, każdą z nich w jednym końcu się zaostrza, w drugim zaś przebijają uszko, które czasem bywa złoczone. Następnie igły muszą być hartowane i wygładzone, a wtedy dopiero można je opakować i wysłać do sklepów.

— Co roboty — zawołała Czesia — ależ igły powinny być bardzo drogie.

— Dzięki maszynom i podziałowi pracy, są bardzo tanie, dostępne dla najuboższych. Ta mała czarodziejka jest pomocniczą człowiekowi w pracy, często zaś jego żywicielką. Posługuje się nią królowa i robotnica, milionerka i żebraczka, szewc i lekarz. Choć drobna, ma wartość nieocenioną, większą, niż perły i brylanty.

Zamknął oczy i starał się o niczem nie myśleć, bo czuł, jak mu się włosy jeżą na głowie, a strach zimnemi palcami ścisną za serce.

— Wielki Duchu!...

Mijały dni i noce, jednakowo mroczne, pełne lęku, niepokoju, gorączki, nieprzytomnych pomruków i jęków żalonych.

Chory zrywał się, siadał, gwizdał, wołał rozpaczliwie:

— Cza-Ra! Cza-Ra, przychodź! Nań, czy nie czujesz, że umrę tu sam, przez wszystkich porzucony w „tajdze”? Nań! Nań!

Odpowiedziały mu skrzczeniem głosem, stworzone krzykiem, sroki i sójki, krakały kruki, coraz częściej siadające na wierchołkach jodeł i strzegące zdobyczy, którą miał być on, Marusz, syn Gaara, łowiec północnej krainy.

Niejasne szmery, skradające się stapania niewidzialnych w haszczach zwierząt chwycił Marusz zgorączkowanym słuchem i drżał, zaciskając w rękę siekiere.

Nie zapominał jednak dorzucać drzewa do ogniska, gdyż wiedział, że w niem teraz cały jego ratunek.

Czają się zdala i czekają, aż zgaśnie...

Maruszowi zdawało się, że tu już rok upłynął od chwili, gdy posłał Cza-Ra do chatki nad jeziorem.

Dawno już zjadł zające i teraz tykał śnieg, żuł żywicę i gryzł rzemienie, uśmieraszając dokuczający mu głód.

Pewnej nocy, gdy mrok ciężki przytłoczył ziemię, Marusz zrozumiał, że nikt już nie przyjdzie mu z pomocą.

— Zesłabnę... zagaśnie ognisko i — koniec!... Wilki czatują już, zaległszy w krzakach... Wczoraj widziałem w gąszczu ich migające „latarnie“ — ślepie zielone, płonące jak iskierki!.. Czekają na stype kruki!.. Zginąłem!..

Nagle wpadł w szal.

Porwał buchającą ogniem żagiew, doczołgał się do starej, suchej jodły i zaczął ją podpalać.

Wkrótce drobne wężyki ogniste pobiegły po suchych gałązkach smolnych, przetrzuciły się na przesycone żywicą konary i sunęły coraz wyżej, aż na sam szczyt marnego olbrzyma leśnego.

— a — a — a! — wyl Marusz, usiłując podnieść się i biedz w grozie strachu.

Odpowiedziały mu przerażeniem krakaniem, zrywające się dokoła kruki.

U — u — u — u! — zawodziły zdaląka wilki.

Nie słyszał tych głosów nieprzytomny,

A. F. Osensowski



CZAC

porwany szalem i rozpaczą Marusz. Miotał się, szamotał, podnosił się i padał, wyjąc coraz obłędniej.

— A — a — a — a!

Wreszcie padł, uderzył się głową o przysypany śniegiem glaz i zemdał.

Jęknął, gdy nagły ból ostro szarpnął nim.

— To wilki wbijają we mnie kły swoje... — mignęła myśl.

Czuł, że coś wlecze go po śniegu...

Na jedno mgnienie oka obudzona świadomość podszepnęła, że to drapieżna zwierzęta odciągają go dalek od ogniska...

Zapał się w mrok i bezwład. Już nic nie czuł... niczego nie pragnął... niczego się nie bał...

Nie słyszał radosnego szczekania Cza-Ra; nie widział, że przez las pędzi na reniferze Nań z uwiązany na plecach Dugemem; że pochyliła się nad mężem, długo oglądała złamaną nogę jego, układała chorego na sankach i wiozła cicho płacząc i szepecząc przez zaciśnięte zęby:

— Wielki Duchu, ratuj Marusza, ocal go dla mnie — stworzonej, biednej, dla małego Dugena, który nie może przecież pozostać bez ojca?! Wielki Duchu! Ty, który wszystko możesz... Wielki Duchu!

Wybuchnęła rozpaczliwym szlochem.

Cza-Ra, biegnąca obok niej, wydała ponury skowyt.

Marusz nic nie widział i nie słyszał...

Wielki Duch

Trzy dni wiozła chorego, pokaleczonego męża zropaczona, stworzona żona Nań. Wprzegła się obok renifera, wyciągając sanki z głębokich jarów.

Marusz powoli odzyskiwał przytomność, a gdy poznał żonę, rozplakał się, jak dziecko, i długo nie mógł przemówić słowa.

Jednak słyszał, co mówiła do niego Nań.

— Byłam wciąż o ciebie niespokojna... — opowiadała. — Modły zanosłam do Wielkiego Ducha, aby miał cię w swej opiece... Przed dwoma tygodniami taki niepokój ogarnął mnie, że nie mogłam nic robić, nie spałam po nocach i płakałam...



Kilka razy zapuszczałam się do puszczy, krzyczałam, strzelałam... Myślałam, że straciłam drogę i błąkać się w tajdze... Kiedyś późno w nocy zaczął ujadać Wou-Gou. Biegał dokoła chatki, wyl i szczekał... Pomyślałam, że zweszyl wilki, lub że jelenie przeszły w pobliżu... Jednak Wou-Gou naszczekiwał radośnie i wyl tak, jakgdyby nawołując... Trwało to przez całą noc... Ujrzawszy mnie, gdy wybierałam się pójść do przerębli, zaczął skakać, szczekać, chwytać mnie za ubranie i ciągnąć do tajgi... Wzięłam karabin i poszłam... Wou-Gou biegł przede mną i wymachiwał ogonem... Ledwie doszliśmy do pagórków, wpadł w zarośla, węsząc i poszczekując... Odbiegł bardzo daleko, lecz posłyszawszy jego wycie i skowyt, odnalazłam psa i stanęłam, jak wryta... Zrozumiałam, że spotkało cie nieszczęście... W krzakah leżała Czoa-Ra; z boku i karku sączyła się krew... musiała spotkać wilka i stoczyć z nim walkę... Była tak słaba, że nie mogła podnieść głowy. Patrzyła na mnie błagalnie i cicho skamlała... Frzyniosłam ją do domu, obmyłam, zalepiłam żywicą rany i nakarmiłam. Leżała niedługo, zwlekła się z posłania i poszła do drzwi, ogłędając się na mnie i wyjąc przeciągle... Wysłałam za nią, a wtedy skowytać zaczęła radośnie i ciągnęła w stronę tajgi... Zrozumiałam, że prowadzi mnie na pomoc tobie... Zabrałam dziecko, wsiałam na jelenia i całe dwa dni jechałam, zanim Czoa-Ra odnalazła ciebie, Maruszu... Maruszu!

Myśliwy oczy podniósł ku niebu i wyszeptał:

— Wielki Duchu, niech ludzie wiecznie chwalać imię twoje, boś miłosierny i sprawiedliwy!...

Posłyszawszy głos męża, ujrzawszy błyski szczęścia w jego zapadłych oczach, Nań z krzykiem bezmiernej radości padła na kolana i zaczęła raz po raz pochylać się do ziemi, dotykając jej czołem i szeptać:

— Wielki Duchu, opiekunie, źródło dobroci i radości, chwalał Ciebie! Pocięszyleś biedną strwożoną Nań, zwróciłeś jej Marusza... Dopomóż mi teraz, Wielki

Duchu, ojeże nasz, abym wyrwała go śmierci!...

Długo kiwała się, pochylona do ziemi, szeptać gorąco.

Dotarli nareszcie do chatki, witani zdaleka basowem szczekaniem Wou-Gou, pozostawionego na straży domu.

Dużo sił i wytrzymałości dał Bóg ludzimi dłońmi północy...

Leżąc w spokoju i bez ruchu, pojony jakimiś cudownymi ziółkami, Marusz czuł, że powraca do zdrowia.

Mięła bez śladu gorączka zła, wy-czerpująca go. Powoli zmniejszały się bóle w złamanej nodze.

Siadał teraz na posłaniu ze skór i śmiał się wesoło, bawiąc się z Dugenem, który już zaczynał mówić i biegać po izbie.

Marusz często przytulał do piersi kudłatą głowę Czoa-Ra, pieścił ją i szeptał słowa wdzięczności. Ona zaś lizala go po policzkach i rekach i cicho kiwała ogonem. Nie wiedziała jeszcze, czy ma się cieszyć i czuć się szczęśliwą.

Pewnego dnia Nań rzekła do męża:

— Dziś zdejmę ci opatrunek... Musimy obejrzeć nogę...

Rozcięła rzemienie, odkręciła szmaty i odrzuciła wygięte kawałki kory modrzewiowej, w których pozostawała bez ruchu złamana noga.

Obmacywała kość ostrożnie, wprawnymi ruchami, bo żony północnych łowców są zmuszone nieraz leczyć swoich mężów, gdy ci powracają z łowów, poszarpani przez niedźwiedzie i rysie, z polamaniami rękami lub odmrożonemi stopami, z gnijąciami od szkorbutu działkami i wargami, trawieni gorączką, zimnicą i innymi chorobami.

Nań długo badała kosc, wreszcie westchnęła z ulgą i szepnęła:

— Wielki Duch dopomógł nam! Noga zrosła się dobrze. Nawet utykać nie będzie!... Maruszu!

Ukryła wzmruszoną twarz na piersi męża.

Czoa-Ra, obecna przy tem, patrzyła uważnie i słuchała.

Nagle zerwała się ze swego miejsca i zaczęła szczekać cienko, radośnie. Od zagrody jeleniej natychmiast odpowiedział jej Wou-Gou.

Skakał i klaskał w dłonie nagle porwany radością Dugen.

(Dokończenie na str. 6)

(Dokończenie)

Od tego dnia zaczęła się uowa kuracja.

Roztopiwszy w kociołku lój niedźwiedzi, Nań wcierała go długo w złamane miejsce, powtarzając to trzy razy dziennie. Na noc nakładała szmatę, powleczone na gęstą warstwą żywicy cedrowej, która twardniała szybko i ścisnęła słabe miejsce.

Po kilku dniach Marusz mógł już stąpać chorą nogą.

Ujrawszy go chodzącego, CzaO-Ra przypadła Maruszowi do stóp, skowyciała i piszczała, liżąc je.

Wyraziwszy tem swoją radość, wyniosła się z chatki. Całe dnie spędzała odtąd z Wou-Gou.

Marusz już pomagał żonie w gospodarstwie.

Pewnego razu, gdy siedzieli w izbie i wycinali rzemienie, wpadł Dugen i, gwarząc po swojemu, wskazywał rączka na niebo.

Myśliwy porzucił pracę i wyjrzał przez drzwi.

Nad jeziorem, jeszcze zamarniętem, krążył duży klucz łabędzi, klekocąc głośno i niespokojnie.

— Wiosna idzie, Nań! — zawołał Marusz. — Łabędzie już przyleciały!

Z dniem każdym słońce przygrzewało coraz silniej. Na jeziorze lód ściemniał, popękał i zaczął się rozsypywać w długie, dzwoniące, szybko topniejące igły. Poopadały i wsiąkły w ziemię grube sople lodu, zwisające z wystających żerdzi płaskiej strzechy. Na wyzwolonych z pod śniegu pagórkach bojaźliwie wyglądała pierwsza zielona trawa i zakwitły białe, odkryte ciepłym puchem anemony.

Na zboczach piaszczystych wydm, wśród krzaków wierzbowych, strojnych w białe bazy, gziły się zające: w gąszczu jodeł goniły się wiewiórki, którym z szarego futerka już rude wyzierały włosy; na polanach, sycząc i bełkocąc, tokiwały cietrzewie czupurne, zawiadające: z głębi kniei dobiegała drażniąca, tajem-

nicza pieśń rozkochanego głuszca; porykiwały kozły, nawołujące sarny do ustronnego ostępu leśnego; groźnie rycząc, walczyły ze sobą jelenie, dążąc zewsząd na bagna, porośle bajorami...

Wszystko dokoła różnemi głosami śpiewało odwieczną pieśń wiosenną, brzmiającą potężnym zewem życia...

Nie miały sił zagłuszyć jej zrywające się jeszcze śnieżyce i przymrozki ostre, bo zaledwie wyjrzało z poza ciężkich, szarych chmur słońce i — znowu rozbrzmiewała ta pieśń stugłosa, radosna, zwycięska pieśń budzącego się życia.

Marusz siadywał z żoną i synem przed chatą i wszyscy słuchali tego chóru szczęśliwych, beztroskich, upojnych głosów.

Pierzchały w popłochu ciężkie wspomnienia odchodzącej zimy, znikając widmo śmierci, która tak nielitościwie zaglądała w oczy uczciwym, pracowitym, spokojnym ludziom północy. Na twarzach ich wykwił uśmiech pogodny, w sercach podnosiła się rzewna wdzięczność dla Tego, który po surowej, ponurej zimie i nocy polarnej, posyłał ciepłe życiodajne lato, promienne, umające kwieciami wonnem, bujne i pieszczoty pełne.

— Wielki Duchu! — szeptały usta.

— Wielki Duchu! — powtarzały serca, głośniejsz bijące w piersi.

— Wielki Duchu! — śpiewały w duszach głosy nieznane.

CzaO-Ra, wygrzewająca się na słońcu i z pod oka spoglądająca na pogrążonego w zadumie Wou-Gou, na Marusza, Nań i Dugena, wydawała radosne, brzmiające, jak srebrny dzwonek, skomlenie.

Zdawało się, że i ona uczyła gorącą wdzięczność dla kogoś nieznanego, kto rzucił pełną garścią łagodnego, ciepłego promienia złotego na jej spracowane, bliznami porysowane ciało, na kudłatego Wou-Gou, na uśmiechniętego Marusza, szczęśliwą Nań i zawsze wesolego Dugena...

— Wielki Duchu!...

Koniec

Krasnoludki piszą

Baśń o dzielnym Jaśku

Pośród wielkiego boru mieszkał drwał ze swojemi sześciorga dziećmi i żoną. Najmłodszy z nich był synek, zwany „dzielny Jaśkiem”. Żyli bardzo ubogo. Nieraz nie mieli chleba. Pewnego razu ojciec zabrał dzieci i pojechał do lasu. Ojciec rąbał drwa, starsze dzieci pomagały ojcu przy pracy. Jaśiek ze swoją siostrzyczką Danusią zbierali jagody, aby zanieść mamusi. Lecz, niestety, zabłądzili. Jaśiek był żwawy chłopak, prędko odnalazł drogę i wesóło wrócili do domu. Mamusia była bardzo uradowana, że ma takiego synka.

Był śliczny letni dzień. Słońce paliło mocno. Mamusia zawiązała do chustki kawałek chleba i kazała by dzieci zaniósł ojcu. Usłuchały dzieci matkę i całą szóstką ruszyły do lasu. Znalazły ojca i oddały chleb i ruszyły do domu. Było już po południu. Chmury zaczęły pokrywać niebo, błyskawice je rozdzierały, a grzmot huczał aż ziemia drżała. Biedne dzieci zabłądziły. Długo chodziły po lesie, lecz drogi odnaleźć nie mogły. Noc nadeszła, burza się rozszalała. Wtem Jaśiek wstąpił na wysokie drzewo, by się rozejrzeć dokoła. Zauważył on, że gdzieś światelko widać. Prędko zszedł z drzewa i ruszyły w stronę światła. Nieśmiało zapukały do małych drzwiczek. Drzwi otworzyła im jakaś straszna kobieta. Zdziwiła się ona bardzo i zapytała, czego tutaj żądają. Jaśiek wystąpił naprzód i opowiedział całą historję. Była to chata ludożerca. Kobieta mówiła im, że one stąd żywe nie wyjdą dlatego, że mąż ich zje. Tylko to powiedziała, gdy nagle do drzwi wszedł olbrzym. Spojrzał on na dzieci i na żonę. Miał on także swoich sześć dzieci. Kazał żonie dzieciom dać jeść, a potem je ugotować. W nocy, gdy wszyscy spali, dzielny Jaśiek zdjął swoim braciom i siostrom zielone kapturki i nałożył dzieciom ludożercy. A z nich zdjął czerwone i nałożył braciom i siostrom. O północy olbrzym wstał, zaczął pić piwo i spożywać ciało swego dziecka, ponieważ nie poznał go. Nazajutrz, gdy się obudził, zobaczył, że zjadł swego syna, rozgniewał się niezmiernie. Dzieci drwała

uciekły. Ludożerca włożył pięciomilowe buty i rzucił się w pogoń. Lecz daremnie. Dzieci ukryły się na drzewach. Wszedł olbrzym do lasu, położył się spać pod drzewo, gdzie siedział Jaśiek. Zauważył Jaśiek olbrzyma i postanowił buty zdjąć. To jemu się udało. Zdjął buty, wszedł w ulę swe siostry i braci i powędrował do domu. Na spotkanie wybiegła matka i ojciec, którzy ze łzami witali swe dzieci. To wszystko zrobić im się udało zawdzięczając ich braciškowi „dzielnemu Jaśkowi”.

Nadeszła E. Skowrońska

z Pasiene

Mądry pies

Pewnego poranku, gdy wszyscy jeszcze spali, matka Zosi podeszła do łóżeczka swej malej córeczki i szepnęła jej do ucha: „Wstań Zosiu, zobacz jakiego Ci ładnego przyniosłam pieska.” Zosia otworzyła oczęta i z radością z rąk matki wzięła i przytuliła do siebie przeslicznego pieska. Cały biały, z czarnymi plamami, oczka granatowe, a nosek czarny. Za kilka lat „Nero”, tak bowiem nazywał się nasz bohater, urosł na ślicznego doga i był nieodstępnym towarzyszem Zosi.

Razu pewnego, a było to w zimie, poszła Zosia ze swoją koleżanką Basią na lód. Obie ślizgały się i bawiły doskonale. Lecz w rozpedzie posunęły się zbyt daleko i Zosią, która ślizgała się pierwsza, wpadła do przerebli z lekka przupruszonej śniegiem. Na szczęście był obecny, jak zawsze, Nero, który, nie widząc swej Pani, a przeczuwając niebezpieczeństwo, rzucił się ku miejscu, gdzie zniknęła Zosia, chwycił ją za wystającą z wody pelerynę palta i wszelkimi siłami starał się wyciągnąć z wody. Na krzyki Basi zbiegli się ludzie i wyratowali Zosię. Zmokniętą i zziębniętą przyniesiono ją do domu. Mama Zosi położyła ją do łóżeczka, w którym przeleżała 4 tygodnie, a Nero, leżąc obok, bawił ją różnemi figlami. Za tak wierną służbę pozyskał miłość i wieczny chleb.

Nadeszła Jadzia Chmielowska z Rygi



... stara małpa też czyta ...

Adres „Krasnoludków” Redakcja „Nasze życie”, Riga — Dzirnau 52. „Krasnoludki”
Drukarnia „RITI”, Rigā, Dzirnau telā Nr. 57.